

Krowy



[Andrzej Stasiuk](#)

20.08.2018

Któregoś lata pilnowałem krów w opustoszałej dolinie. Stado było poważne, bo czterdzieści sztuk rasy limousine.



Fot. JONATAN RUNDBLAD / ADOBE STOCK

To bydło ma bardzo niezależny charakter. Pasię się niemal na dziko, nie przepada za oborą i nawet zimą, zamiast pod dachem, woli spędzać czas pod gołym niebem. Nie przejmuje się również ludzką władzą i właściciel opowiadał, że nieraz musiał po prostu uciekać przed niezadowolonym zwierzęciem. Nie przejmują się też wilkami. Zbijają się ciasno chroniąc w środku stada młode i drapieżniki nie mają żadnych szans przeciw tysiąckilowym rogatym cielskom.

NIESPECJALNIE IM SIĘ NARZUCAŁEM, WIEDZĄC O TYM WSZYSTKIM. Po prostu od czasu do czasu obchodziłem trzykilometrowego elektrycznego pastucha i sprawdzałem jego stan. W gruncie rzeczy ten pastuch też był symboliczny, bo cóż to jest dla limousine trochę prądu, króciutkie ukłucie, a

potem zerwany drut i całkowita wolność w beskidzkich ostępach. Po prostu na razie miały dość trawy.

Na noc miałem namiot albo drewnianą pryczę pod prowizorycznym daszkiem, ale wolałem spać wśród nich. Czekałem, aż ułożą się o zmierzchu. Jedna, potem druga i w końcu wszystkie opadały ciężko po całym dniu i sadowiły swoje jasnorude ciała na ziemi. Bok w bok, łeb w łeb, ciasno. Zaczynały przeżuwać. Zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób godzą tę czynność ze snem. Czekałem, aż się całkiem uspokoją, potem brałem karimatę, śpiwór i kawałek starego tropiku. Powoli, ostrożnie układałem się pod zdziczałą jabłonią niedaleko nich. Może mnie nie stratują, pocieszałem się w duchu. Może się nie splotą. Przecież są odważne i nie boją się wilka. Spadała rosa i zasypiałem razem z nimi. Słyszałem, jak pracują ich wnętrzości. To było niskie, powolne, jakby podwodne i nieustępliwe. Wyobrażałem sobie, że zapadam w sen wśród stada wielorybów. Czułem ciepły zapach. Tak było od tysiącleci: układały się wieczorem i zamieniały trawę, rośliny i wodę w mięso, mleko i tłuszcz, którymi się żywimy. Zamieniały pokarm we własne dzieci, które potem zabijamy i zjadamy.

ZOBACZYŁEM NAD SOBĄ CZARNY WILGOTNY PYSK.

Miałem wtedy trzy albo cztery lata. Na wsi gdzieś nad Bugiem. Pysk lśnił i był ogromny. Niewykluczone, że wiedziony dziecięcym odruchem wyciągnąłem rękę i go dotknąłem. Był masywny, mocarny i zarazem delikatny. Pokryty miękką, a jednocześnie napiętą skórą, która była ciepła i wilgotna. Jeżeli w dzieciństwie zbliżymy się do czegoś wielkiego i obcego i nie zaznamy krzywdy, to i potem strach nas oszczędzi. Wchodziłem bez lęku do ciemnej stajni pomiędzy ledwo widoczne ciała i przykładając ucho do ciepłych brzuchów. Głaskałem masywne karki. Gdy podrosłem, dotykałem rogów – tej dziwnej materii trochę jeszcze żywej, ale zarazem już martwej i oddzielnej. Rankami wypędzałem je na pastwisko, a ciężkie wlokące się za nimi łańcuchy srebrzyły się od rosy. Potem czekałem, aż któraś podniesie głowę. Ich oczy były ciemnogrnatowe i bezdenne. Wydawało się, że pozbawione są źrenic i patrzą z niezmiernie daleka. Z miejsca i czasu, o których nie mamy pojęcia. Zagląając w nie, wydawało mi się, że niczym wsiowa Alicja przechodzę na drugą stronę lustra. Ale nie bałem się. Wystarczyło naśladować krowią powolność, niezmacony spokój, i traktowały mnie jak swego. Czasem któraś nawet liznęła szorstkim jęzorem, którym tak bezbłędnie jak dłonią na co dzień zagarniała garście trawy. Wokół stalowych pali, do których przyczepione były łańcuchy, wystrzygały bezbłędne półkole. Gdy w letni zmierzch wracałem z nimi do obejścia, sunący w trawie metal miał złotoczerwony połysk.

CZTERDZIEŚCI PARĘ LAT PÓŹNIEJ, W MONGOLII, KIRGISTANIE, krowy nie miały łańcuchów. Były mniejsze, wysmukłe i zupełnie wolne. Zjawiały się samopas na stepie z dala od ludzkich siedzib. Czasem spotykałem je na kamienistych i piaszczystych bezludziach, gdzie nie rośło prawie nic. Ale ich płowe i brązowe boki były lśniące i gładkie. Widać nie głodowały. Te z dzieciństwa nie przeżyłyby tutaj tygodnia. Na wyżynnych równinach, pod nieubłaganym słońcem, w bezdrzewnej krainie, ze

studniami oddalonymi o całe dni drogi. Na skraju pustyni Altan Els widziałem ich zimowe zagrody. To były niewysokie mury z kamieni ustawione w cieniu wydm, które miały osłaniać od północnych wiatrów wiejących znad Sajanu i Tuwy, niosących trzydziestostopniowy mróz. Były mniejsze, bardziej odporne i miały niespotykane u nas maści. Bułane, siwe, we wszystkich odcieniach brązu, czarne i w mieszaninach tych wszystkich barw. Zjawiały się zza widnokręgu i za widnokręgiem znikały. Może nieco bardziej nieufne niż nasze, ale równie spokojne. Leżały stadami na wyjeżdżonych szlakach i niechętnie podnosiły się na widok auta. Starąłem się je omijać i nie przerywać im sjesty pod nieubłaganym niebem stepu. Chłodu mogły zaznać w nieliczne pochmurne dni albo w cieniu skał. No i w zimie, gdy od Tuwy wiał lodowaty wiatr. Dawały ludziom wszystko, co miały. Mięso, mleko, skóry i swoje cielęta. W bezdrzewnej i surowej krainie były też jedynym źródłem opatu. Stojąc w swoich zimowych zagrodach produkowały nawóz. Udeptany, ubity, wiosną pocięty w sześciennie bloki i wysuszony na słońcu, zimą ogrzewał ludzkie schronienia.

To tu, to tam leżały szkielety. Niektóre stare, poszarzałe ze starości, inne świeże, białe z resztkami ścięgien. Piasek na przemian zasypywał je i odkrywał. Można było sobie wyobrazić, że pod ziemią zalegają tysiącletnie pokłady i tak samo jak kamienie i skały tworzą krajobraz krainy.

JEST ICH CORAZ MNIEJ. Byłem ostatnio we wsi, w której pierwszy raz widziałem krowę. I w której wchodziłem do ciemnej obory, by nasłuchiwać, jak dźwięczą o dno wiadra pierwsze strumyki wieczornego udoju. Tafla mleka w mroku bielą niepokojąco. Łańcuchy pobrzękiwały cicho o deski żłobu. Krowy były dwie, potem trzy. Każda miała swoje imię. Na łąkach, w zasięgu wzroku, pasło się kilka gospodarskich stad, czy też stadek. Czarno-białe i rude sylwetki były naturalnym składnikiem pejzażu. Jak drzewa, jak kopy siana latem, jak snopy poustawiane w mendle i kuczki.

Obszedłem całą wieś. Było pięć zwierząt pasących się przy jednym domu. Znalazłem też oborę, w której stało kilkanaście krów, ale nie sądzę, by w ogóle widziały pastwisko, by widziały niebo. Dostawały paszę do żłobów, wodę do poidel. łąk też nie było. Wszystko pokrywały zbożowe i kukurydziane monokultury. Gdzie były krowy? Zapewne w fabrykach mięsa i mleka, z dala od ludzkich oczu. W żelaznych zagrodach, w elektrycznym świetle, w stałej temperaturze, z jedzeniem, które skomponowali chemicy.

WCIAŻ POWRACA DO MNIE OBRAZ, który widziałem wiele lat temu w Rumunii. To było już za Karpatami, na Wołoszczyźnie. Był wieczór i stada schodziły z pastwisk. Wieś była nieskończenie długą ulicówką. Ciągnęła się i ciągnęła, a my jechaliśmy trzy kilometry na godzinę, bo przed nami dreptał nieprzebrany tabun. Krowy, owce, kozy. I każde z bydła wiedziało, gdzie mieszka, i bezbłędnie skręcało w swoją otwartą bramę. Stado rzedło, wieś powoli się kończyła. W otwartej furcie niewielkiego, biednego gospodarstwa stała stara kobieta. Jedna z krów odłączyła się od reszty i do niej podeszła. Kobieta wyjęła zza pleców marchewkę, podała zwierzęciu i odsunęła się, by zrobić przejście. ©